

Zbigniew Mikołajko
**Przyzwoitość
ma wiele znaczeń**

Czym jest przyzwoitość według Pana?

Nie ma jednej definicji przyzwoitości. I jednej jej miary. To słowo i zjawisko wieloznaczne – i prowadzi ono w różnych kierunkach. Ma też swoją przeszłość, swoją dziejowość. Jedno ze znaczeń mówi więc, że przyzwoity to „obyczajny”, zgodny z obyczajami, z przyjętymi w społeczności normami i zasadami. Ale to ma sens w świecie, w którym istnieją jakieś zasady i normy, jakieś autorytety, w miarę trwałe systemy wartości oraz reguły gry. W świecie, w którym to wszystko podlega atrofii, rozmyciu, ten sens zaczyna ginąć. Podobnie zresztą jak i inne znaczenia, mówiące na przykład, że przyzwoity to „dostateczny”. To jednak ważne, bo sugeruje się tu, że przyzwoity to „godziwy”, prawda? Chodzi więc o godziwą miarę czegoś. Czyli ma to taki sens, który dotyka poczucia godności, ale i godziwości. Nie bez racji przecież powiadamy o czynach i ludziach godnych i niegodnych, godziwych i niegodziwych. Przyzwoitość oznacza bowiem rodzaj zatroskania o własne godziwe postępowanie i o godziwe traktowanie innych – miarę swych możliwości. Nie jest to zatem słowo wielkie, z tych górnolotnych i patetycznych, pisanych wielką literą. Dlatego słowo „przyzwoitość” bardzo mi się podoba. Wskazuje ono na pewien umiar i nie jest słowem brutalnie normatywnym: raczej mówi o kierunku naszego postępowania, niż o czymś, co musimy w sobie mieć na stałe i twardo się tego trzymać. To zresztą sprawa czasu. Kiedyś więc łączyło się tym słowem znaczenie mocniejsze, pewien rodzaj represyjności. Goethe na przykład powiedział gdzieś, że są dwa rodzaje pokojowej przemocy, a mianowicie prawo i przyzwoitość. Jeszcze zatem w jego czasach to słowo wiązało się z obyczajem. I Goethe zdawał sobie sprawę, że obyczaj jest w jakiś sposób represyjny. Tymczasem ewolucja, przemiana tego słowa spowodowała, że ono zaczęło zależeć w znacznej mierze od naszego wewnętrznego poczucia godności, sprawiedliwości, dobra i zła, dotykając wielu rozmaitych odczuć i przeżyć.

A skąd się w nas bierze przyzwoitość?

Gdybym chciał myśleć tradycyjnie – może nawet muszę myśleć tradycyjnie, bo mam swoje lata – powiedziałbym, że w moich czasach przyzwoitość brała się z wychowania. Z wychowania głównie w rodzinie. Chociaż oczywiście można zauważyć nawet u zwierząt pewne zasady, zatem mają one także biologiczne podłoże. Ale – najogólniej – o przyzwoitości decyduje kultura i wychowanie. U starożytnych Greków określano to jako paideia i było to o wiele ważniejsze niż edukacja zmierzająca tylko do wiedzy. Odejście od tego sposobu wychowywania okazało się tragiczne w skutkach. Po 1989 roku chociażby wszystkie liberalno-lewicowe formacje zrezygnowały z paidei. Także Kościół zrezygnował z paidei, przestał pełnić funkcje wychowawczo-moralne. I w społeczeństwie, w którym zaczęła dominować edukacja odwołująca się tylko do wiedzy – na dodatek w kontekście rozmaitych, nierzadko drapieżnych, gier ideologicznych – rozchwiały się

mocniej normy przyzwoitości. Postawiono więc w nauczaniu na pragmatyzm, na skuteczność, na wyniki. Mówi się tu więc tu jakby w karykaturalnej przeróbce Biblii: „Po owocach ich poznacie”. Kiedyś odnosiło się to do moralnych, duchowych skutków uczynków. Dzisiaj ten owoc oznacza natomiast osiągnięcie jakiegoś praktycznego celu, zdobycie jakiejś materialnej czy społecznej pozycji, jakiegoś namacalnego i konkretnego dobra. Owocem może być więc zniszczenie przeciwnika, wdeptanie go w błoto, owocem może być oszukanie kogoś. Krótko mówiąc: oddalamy się od tego, co zakładała przyzwoitość. Lubię tu cytować Marcina Wrońskiego, autora bardzo dobrych powieści kryminalnych, osadzonych głównie w przedwojennym Lublinie. Pan Marcin powiedział zatem w jednym z wywiadów, że przed wojną była przyzwoitość, a teraz jest polityczna poprawność. Ta różnica jest zasadnicza. Mam zarazem teorię, że w Polsce XIX wiek trwał do roku 1989. Bo do tej daty mieliśmy te same przekłete problemy społeczne, kulturowe, mieliśmy to samo zniewolenie, co w XIX stuleciu – no i, w konsekwencji, takie samo myślenie. Ale jakoś łatwiej nam było zachować przyzwoitość. Wiadomo było, kto jest zły, kto dobry. „Z grubsza”, bo oczywiście zdarzali się przyzwoici ludzie aparatu władzy i nieprzyzwoici ludzie opozycji. Ale jakoś się to dawało odczytać i uporządkować. Po 1989 roku zmusiliśmy się jednak, by uciec do pewnego porządku ideologicznego zwanego polityczną poprawnością. Lecz płynąca z całej – że tak powiem – odziedziczonej po XIX wieku formacji kulturowej, mentalnej i etycznej, przyzwoitość ma się do niej nijak. „Pryzwoitość” ma nas bowiem nie tyle przeanielić, co wskazać nam drogę. Słynne, bo tak często przywoływane zdanie profesora Bartoszewskiego, że wypada być przyzwoitym, czy powoływanie się na naszych dziadków – „Jak nie wiesz, jak masz się zachować, to zachowaj się przyzwoicie” – to więc jedynie wskazanie drogi. To jest formuła otwarta, ogólna wskazówka. Każda sytuacja życiowa jest przecież inna, niepowtarzalna. Nieustannie, za każdym razem, musimy dokonywać wyborów między dobrem a złem, bywa, że karkołomnych. Słowo „pryzwoitość” mówi tymczasem: starajmy się dążyć do dobra według własnego rozeznania. Oczywiście nikt z nas nie jest Bogiem, nikt nie ma obiektywnej miary dobra i zła. Przyzwoitość jest więc tylko pewną niczego nienarzucającą i jakby na swój sposób dyskretną postawą wobec świata. I nie ma w sobie stanowczości dekalogu. Kiedy mówi się bowiem „nie kradnij”, niezbicie wiadomo, o co chodzi. Słowo „pryzwoitość” nie ma natomiast w sobie tej jednoznaczności, tej twardości i tej precyzji. Zwłaszcza że należy być przyzwoitym nie tylko wobec ludzi, ale i świata, jaki został nam dany: zwierząt, natury, obiektów kultury, tradycji, duchowego i materialnego dziedzictwa. Bliskie jest to temu, co jeden z największych europejskich filozofów, Immanuel Kant, nazwał imperatywem kategorycznym. Imperatyw jego ma kształt formalny, to znaczy nie zawiera żadnych konkretnych przypisów, nie jest skierowany do żadnych konkretnych grup czy osób. Nie mówi stanowczo „nie kradnij”, lecz o wiele łagodniej i ogólniej: „Postępuj wedle takiej tylko zasady, co do której mógłbyś chcieć, żeby stała się prawem powszechnym”. Jeśli chcesz zatem, żeby wszyscy kradli, to kradnij, jeśli chcesz, żeby wszyscy byli uczciwi – bądź uczciwy. Tutaj gdzieś zresztą styka się intuicja potoczna z myślą wielkiego filozofa. I sądzę, że właśnie w tym imperatywie przyzwoitość, mimo że jest ona otwartym terminem i zjawiskiem, znajduje

potwierdzenie, że jest to jednak nakaz moralny. Imperatyw po polsku znaczy w końcu tyle co nakaz. Nie odwołuje się to zarazem do „twardej” wiedzy, raczej do uczuć. Inaczej więc niż pochodząca z kultury ideologicznego pragmatyzmu poprawność polityczna przyzwoitość apeluje do kultury uczucia, do wewnętrznego przeświadczenia. To trochę romantyczne.

Mamy kryzys przyzwoitości?

Mamy kryzys przyzwoitości – i to ogromny, bardzo radykalny. We wszystkich zresztą społeczeństwach Zachodu. To niechciane i nieprzewidziane dziedzictwo kulturowej rewolucji lat sześćdziesiątych. Skutek uboczny zjawiska, które głośna antropolog amerykańska Margaret Mead nazwała „kulturą prefiguratywną”, kulturą „tajemniczych dzieci”, czyli taką, w obrębie której młodsze pokolenia przekazują wiedzę pokoleniom starszym, w obrębie której odwraca się kierunek przekazywania wartości, norm oraz wzorów, świat staje się zrozumiały – odmiennie niż w społeczeństwach tradycyjnych – tylko dla młodych, a dorośli nie są w stanie nadążyć za zmianami i pojąć je. Jest to kultura w nikłym stopniu represyjna, a – jak się powiada – przyzwalająca, permissywna. Sam jestem oczywiście dzieckiem tej rewolucji lat sześćdziesiątych i produktem, w znacznej mierze, jej sposobów pojmowania i konsumowania wolności. Ale to poszło chyba za daleko. Nie stawiając zatem w porę tamy wyzwolonemu nazbyt systemowi przyzwolenia, musieliśmy w końcu zderzyć się z anarchizacją systemów wartości. No i teraz tego nierzadko żałujemy, doświadczamy rozmaitych frustracji i żalów. Ot, chociażby we Francji architekci reformy edukacji opartej na owym permissywizmie parę lat temu ogłosili manifest, w którym żałują za grzechy. I przyznali, że taki sposób wychowania doprowadził do wyhodowania chmary ludzi roszczeniowych, którzy nie znają w swoich roszczeniach żadnych granic. Jasne, że nie wszyscy dzisiaj są skrajnie roszczeniowi, ale daliśmy jednak przestrzeń i możliwość artykułowania bez ogródek tego, co roszczeniowe, uruchomiliśmy populizmy nowego rodzaju. Te populizmy zaczynają być teraz bardzo groźne. I zagrażają jedności naszej wspólnoty, naszemu porządkowi kulturowemu czy po prostu naszemu zwykłemu istnieniu. Społeczeństwa Zachodu – od Polski i Węgier po Anglię, Włochy czy Grecję – chwieją się więc pod naporem tych anarchicznych, nieznających granic przyzwoitości roszczeń. Pod naporem ludzi, którzy nie są skłonni do pracy, którzy nie przeszli przez twardy system edukacyjny, nie sprostali żadnym wymaganiom czy obywatelskim powinnościom, lecz uznają, że należą im się „z automatu” jakieś pieniądze, jakieś świadczenia. Na tym oczywiście opierają swoje działania wszystkie formacje populistyczne, mieszające cwanie lewicowość z prawicowością. Te przedziwne konglomeraty polityczne – skrajnej prawicy ze skrajną lewicą – jak populiści greccy, którzy doszli nie tak dawno do władzy na fali rozchełstanego konsumpcjonizmu, który nagle musiał zderzyć się z brutalnymi prawami gospodarki. Dzisiejszy PiS to także zresztą absolutna mieszanka imponderabiliów narodowo-patriotyczno-katolickich z radykalnie lewicowym – żeby nie powiedzieć: lewackim – programem ekonomiczno-społecznym, przynajmniej w propagandowych hasłach. Zostawmy to jednak.

Skoro zatem nie mamy miary dobra i zła, nie mamy też świadomości, kim jesteśmy. Cały czas w związku z tym narasta w nas z jednej strony roszczeniowość, a z drugiej

strony zwątpienie w siebie. Niewiedza co do siebie samego, co do swojego miejsca w świecie, co do wartości własnych uczynków, niewiedza co do tego, jak mamy postąpić w jakiejś sytuacji życiowej. Kiedyś wiedzieliśmy więcej.

A teraz nie wiemy.

A teraz nie wiemy. Pamiętam na przykład z opowieści dziadka Antoniego, że jeśli oficer przed wojną zachował się niegodnie, ci sami ludzie, z którymi pił wódkę, chodził „na dziewczynki”, polował, zwoływali sąd koleżeński. I ci kumple od polowania i „wódeczki” wydawali wyrok. Jeśli był niekorzystny, oznaczał kompletny ostracyzm. Skazanemu dosłownie nikt nie podawał ręki. Dotyczyło to zwłaszcza klasy średniej, bo to ona zawsze jest nośnikiem zarówno starych, trwałych wartości, jak i środowiskiem narodzin wartości nowym. A dzisiaj widzimy, jak ludzie się chwala swoją niegodnością, swoją nieprzyzwoitością. Jak karmią się tym media, tabloidy. Jak wzbudzają niezdrowe fascynacje – zachwyty nawet – nieprzyzwoitymi uczuciami i postawami. A cóż my biedni, wrzuceni w ten kiepski szalony młyn, mamy zrobić? Błąkamy się więc, szukamy wzorów, macamy po omacku. A niektórzy próbują uciec w twarde systemy, w fundamentalizmy. Tak, to jest właśnie ważne źródło ucieczki w stronę fundamentalizmów religijnych, kulturowych, narodowych czy moralnych.

Bo tam są twarde nakazy.

Tak. I proste recepty.

A tu się nam wszystko „rozjechało”.

Tak, oczywiście – a tu tymczasem się „rozjechało”. Młodzież dlatego idzie w stronę prawicowo-nacjonalistycznych ugrupowań, jeśli to prawda – ja o prawdziwości tego zjawiska nie jestem do końca przekonany – bo tam są twarde prawdy, a młodzież zwykle szuka prostych recept, prostego wzoru egzystencji i jej niejako kośćca – gdyż boleśniej doświadczą rozchwiania świata, niepewnych dróg.

Przyzwoitość nam ułatwiała życie, gdyż widzieliśmy, czego możemy się spodziewać po drugim człowieku.

I czego spodziewać się po sobie samym. Jeśli zatem o kimś mówiono, że się zachowuje nieprzyzwoicie, jeśli łapano go na gorącym uczynku, był piętnowany. Oczywiście, artystom czy innym ludziom wybitnym wybaczano więcej. Ale również społeczność wiejska miała swoje mocne kodeksy, swoje normy moralne, swoje miary przyzwoitości. I wiadomo jej było, co jest dobre, a co złe.

My nie reagujemy na nieprzyzwoitości. To jest przyzwolenie na nieprzyzwoitość?

Zaszliśmy daleko w procesie „rozmycia” ocen i burzenia systemów wartości. Rzeczywistość zawsze była daleko od ideału. Jeśli jednak kiedyś ktoś się zachował nieprzyzwoicie i ty odpowiedziałeś krytycznie na tę jego nieprzyzwoitość, mogłeś liczyć bardziej na wsparcie innych. Teraz natomiast na ogół wszyscy się przyglądają reakcji na nieprzyzwoitość niczym pojedynkowi – powiedzmy – dwóch równoprawnych osób czy sił. Jakby to był rodzaj teatru, spektaklu za szkłem, gdzie nie ujawniają się jakby żadne racje moralne. Gdzie nie wiadomo, po której stronie – i czy w ogóle – powinno się stanąć.

To są przecież proste i oczywiste sytuacje. Człowiek podpala bezdomnego, inni patrzą i nie reagują.

Prawda... Zgadza się.

To jest ten teatr, który chcemy oglądać?

Niestety, to jest ten teatr, który chcemy oglądać. Nie jesteśmy w tym pierwsi. Byli przecież ludzie, którzy z lubością oglądali egzekucje. Ale te spektakle okrucieństwa miały zwykle charakter dydaktyczny. Skazaniec opowiadał więc o swych zbrodniach i przestrzegał przed wejściem na jego drogę. Jeszcze więc we wspomnieniach biskupa Józefa Sebastiana Pelczara – była to już druga połowa XIX wieku – pojawia się taki wątek. Jako młody chłopiec był on świadkiem egzekucji złodziei i morderców, którzy zabili żydowską rodzinę na Podkarpaciu. Młody Pelczar jechał z rodzicami do miasta do szkoły i zobaczył, jak jeden ze złodziei, tuż przed powieszeniem, wygłasza do tłumu pouczenie, że nie należy tak postępować jak on, bo to jest zło. To był zatem teatr, ale z brutalnym przekazem dydaktyczno-moralnym. A my się gapimy zupełnie z innych powodów. „Rozmycie” systemów wartości pozbawiło nas w znacznej mierze wrażliwości i potrzeby okazania solidarności. Odpowiedzialne są tu także i media. Kamera ma zimne oko. Pamiętam choćby taką scenę z Haiti po trzęsieniu ziemi w 2010 roku. Dwaj młodzi złodzieje żywności zostali postrzeleni. Konali na ulicy. A amerykański dziennikarz, który relacjonował to wydarzenie, nie udzielił żadnej pomocy tym konającym chłopcom. To właśnie nas uczy braku reakcji. A ów dziennikarz reprezentował środowisko, w którym zostały absolutnie „wymyte” normy moralne, nastąpiła atrofia czy anomia, zanik tego, co moralne. I liczył się tylko profesjonalizm. To była słynna sprawa, która dobrze obnaża to właśnie, co się z nami dzieje.

Kiedyś za pojęciem przyzwoitości stał twardo taki albo inny „dekalog”, nie tylko zresztą religijnej natury, bywał także „dekalog” świecki, choć zakorzeniony w religii, ale świecki. Dzisiaj nic on nie znaczy. Nie wpaja się nam bardziej jednoznacznych postaw moralnych i wzorów. To nie Mojżesz w istocie potrzaskał kamienne tablice – to myśmy je rozbili.

Wyraża się to między innymi w podejściu do inicjacji. Tradycyjne, „pierwotne” społeczeństwa w surowy sposób wprowadzały swoich młodych za pośrednictwem owego mechanizmu w dojrzałość moralną czy odpowiedzialność za drugiego człowieka bądź wspólnotę. Żeby stać się zatem dojrzałymi kobietami czy mężczyznami, musieli przejść oni przez trudną i brutalną inicjację, przez wtajemniczenie w życiowe prawdy. Społeczeństwa nowoczesne, ale też jeszcze tradycyjne, wypracowały z kolei pewne wzory i normy inicjacyjne, chociażby system szkolny zakończony maturą, czyli „egzaminem dojrzałości”. Dziś przechodzi się natomiast przez szkołę jak przez rurę, a dojrzałość ma się budować w obrębie pewnego praktycznego projektu serwowania wiedzy, doświadczenie intelektualne. Nie należy lekceważyć w pojęciu przyzwoitości tego co intelektualne, oparte na wiedzy. Ale jeśli szkoła wymaga lektur, trzymajmy się tradycyjnych, źródłowych. W tych lekturach debatuje się o moralności. Czytając „Antygonę”, zastanawialiśmy się nad straszliwym dylematem bohaterów, kazano nam się określić po stronie Kreona albo Antygony. Za jedną i drugą postacią stał przecież pewien ład moralny i związane z nim poczucie obowiązku. Obojgu chodziło o jakieś dobro, tyle że przeciwstawne – i musiało to zaowocować przemocą i śmiercią. W życiu też stajemy przed dylematami, których nie da się rozstrzygnąć. Tego wszystkiego nie nauczymy się jednak od grafomańskiego poety Wencła czy też poety Rymkiewicza, który w

osławionym wierszu Do Jarosława Kaczyńskiego stygmatyzuje połowę społeczeństwa jako „łajdaków” i „złodziei”. Który utrwała radykalne podziały: „To co nas podzieliło – to się już nie skleji/ Nie można oddać Polski w ręce jej złodziei”. Który mówi o „dwóch Polskach”: „Dwie Polski – ta o której wiedzieli prorocy/ I ta którą w objęcia bierze car północy/ Dwie Polski – jedna chce się podobać na świecie/ I ta druga – ta którą wiozą na lawecie”. Tego typu ideologiczne eksperymenty są bardziej niż ryzykowne. Powiem więcej: są diabelskie, bo diabolos po grecku to tyle mniej więcej co „rozdwojnik”.

Na ile elity polityczne nauczyły nas nieprzyzwoitości?

Bardzo. Ale politycy są z krwi i kości naszej. My ich wyłoniliśmy. I ponadto z czasem – lekceważąc swoje powinności obywatelskie – pozwoliliśmy im na coraz większą demoralizację. „A oni na to, jak na lato”. Skorzystali po prostu skwapliwie z możliwości, jakie stwarza dość powszechna u nas bierność polityczna. I dokonało się to właśnie, co się mogło w takiej sytuacji dokonać. Zresztą zgodnie z zasadą lorda Actona, wielkiego myśliciela katolickiego i moralisty, że każda władza demoralizuje, a władza absolutna demoralizuje absolutnie. Nasza władza wyobcowwała się więc okrutnie, stworzyła zamknięty świat, w którym toczy swoje upojne gry, wyobcowując się coraz bardziej i sięgając po coraz bardziej absolutne metody, narzędzia, możliwości. Urządza nam absolutnie niemoralny teatr nieuczciwości, cynizmu, faryzeizmu, agresji. To nie znaczy, że nie ma przyzwoitych, uczciwych polityków, ale oni są...

...na wymarcu chyba...

...na wymarcu albo w dalekim tle, polityka...

...z przyzwoitością się nie kojarzy?

Nie kojarzy się, zupełnie nie da się skojarzyć, a użycie wyrażenia „przyzwoity polityk” budzi niemal szok, bo to jakby powiedzieć: „dobry morderca”. Ale sami tego chcieliśmy, bo to my wrzucamy te kartki do urn.

No właśnie, dlaczego wybieramy czasami niemoralnych, nieprzyzwoitych polityków?

Człowiek nieprzyzwoity ma tę samą kartkę do głosowania co człowiek przyzwoity. Z rozmaitych względów, z powodu demoralizacji wojennej czy choćby wychowania przez półwiecze całych rzesz homo sovieticus, znaczna część społeczeństwa podejmuje niedobre, niemoralne decyzje polityczne (przy okazji chciałbym się zastrzec, że ja nie wierzę na ogół w żadną „mądrość zbiorową”, bo niezwykle rzadko jej doświadczamy).

Czym wytłumaczymy, że głosujemy na polityka, który okazał się złodziejem albo człowiekiem chorągiewką, który chodzi od partii do partii i w ogóle nie wierzy w żadną ideologię?

Ci, którzy na nich głosują, są tacy sami. Mówią: może to jest złodziej, duży złodziej, ale ja też coś ukradnę w cieniu jego złodziejstwa. Dlatego uważam, że najgorszym doświadczeniem powojennym w Polsce – niezależnie od różnych dobrodziejstw tej epoki – była władza Edwarda Utracjusza. Z bardzo prostego względu. Gomulka był ideologiczny i krzykliwy, taki tradycyjny przedwojenny komunista, ale...

...ale z zasadami?

Ale z zasadami. Podobnie jak kardynał Wyszyński, obaj byli tradycyjni, twardzi w

swoim, nieustępliwi, ale – każdy na swój sposób – moralni. Tymczasem przyszedł ten dobrotliwy Edward Utracjusz. I zezwolił na szalenie elicie władzy, na materialną i moralną rozpustę. No to i lud Boży zaczął też szaleć i mnóstwo ludzi się zdemoralizowało. Niezależnie od dobrych rzeczy, które Gierek przyniósł, na przykład ubezpieczeń społecznych na wsi (wieś odżyła, mogła się zacząć leczyć), niezależnie od pewnego otwarcia na Zachód, które było krokiem do maleńkiej europeizacji Polski. Niemniej jednak jakoś wolałem tamten system Gomułki, choć nie znosiłem go jednocześnie, cierpiałem w nim bardziej niż za Gierka – ale on łączył się jednak z pewnym budowaniem twardszego kośćca moralnego, twardszych systemów wartości. No w każdym razie twardszych od tych Gierkowych.

Od kogo uczyć się w takim razie przyzwoitości? Skoro nie z domu ją wyniesiemy, to skąd? Elity nam się rozmyły.

Autorytety są teraz – niestety – wdeptywane w błoto, zarówno osobiste, jak instytucjonalne, choćby te związane z prawem, nauką, edukacją, kulturą. Musimy więc dokonać nowej pracy organicznej, na nowo odbudować systemy aksjologiczne, systemy wartości.

Kto ma to zrobić?

My wszyscy. Przecież nie wszyscy zostaliśmy zdemoralizowani czy zarażenie destrukcją, obojętnością, cynizmem, szaleństwem. Ja jeżdżę po Polsce i widzę różne wspaniałe inicjatywy lokalne, widzę odradzanie się lokalnych kultur i społeczności. Ludzie „małych ojczyzn” są szalenie ciekawi, aktywni. Wszędzie w takich miejscach znajduję ludzi przyzwoitych i twórczych, z pasją.

Jak długi to będzie proces?

Długi, ponieważ – jak to się powiada – „nazbierało się”. Mam więc niekiedy wrażenie, że musimy przejść przez to jak przez czyściec, a to oznacza, niestety, ogień oczyszczający i przypisane mu, trwające w czasie, cierpienie. Ale ostatecznie – jak sama nazwa wskazuje – dostąpimy lepszego stanu.

A Kościół będzie źródłem przyzwoitości?

Są oczywiście ludzie przyzwoici w Kościele, ludzie moralni, ludzie głębokiego ducha. Trzeba ich szanować i doceniać niezależnie od tego, czy się jest wierzącym, czy niewierzącym. Ale przeważająca grupa hierarchów stała się po prostu działaczami partyjnymi, wręcz ideologami niemiłościwie rządzącej nami partii PiS. Znamy takie nazwiska, jak Mehring, Dydycz, Jędraszewski, Hoser i cała kupa innych panów. Ale to nie znaczy, że nie ma przyzwoitych hierarchów – jak chociażby prymas Polak, arcybiskup Kupny, jak arcybiskup Ryś czy arcybiskup Budzik, czy wreszcie kardynał Nycz, który jest różny od sąsiada z za wielkiej wody, czyli od arcybiskupa Hosera, w rozmaitych istotnych sprawach. Mówię tutaj o hierarchach, ale jest przecież mnóstwo zakonników lub parafialnych księży, których spotykam, wędrując po tej Polsce od kościoła do kościoła. Spotykam zwykłych wiejskich czy małomiasteczkowych księży, którzy pełnią swoje obowiązki w sposób odpowiedzialny, są ludzie odpowiedzialnej wiary i porządnie troszczą się o swe wspólnoty, nie ideologizują ich. Ale to za mało, oni stanowią już tylko część, tę „resztę z Izraela”, mówiąc językiem Pisma. Elity intelektualne też przecież są rozmaite. Nigdy też zresztą tak nie było, żeby wszyscy bez wyjątku prawnicy, intelektualiści czy ludzie Kościoła byli moralni. Musimy chyba zacząć od tego, żeby

przywrócić znaczenie i autorytet ludziom, którzy mają coś sensownego i uczciwego do powiedzenia.

Kto to może być?

Mógłbym wymienić tak wielu ludzi, że nawet nie ma sensu. Autorytety spotkamy i w Kościele, i poza Kościołem. Wśród wybitnych intelektualistów, artystów, w książkach, w tekstach kultury, w przeszłości. Prywatnym i najgłębiej we mnie obecnym moim autorytetem są moi dziadkowie, Maria i Antoni. Zmarli bardzo dawno temu – niedługo będę tak stary jak oni, kiedy odeszli – niemniej to, co mi przekazali, wciąż we mnie „pracuje”. A inne ważne dla mnie autorytety? To rozmaici ludzie, których spotkałem „po drodze”, a których często już nie ma na tym najlepszym z możliwych światów. Różni przyjaciele, niektórzy koledzy z klasy, ze szkoły średniej, z którymi utrzymuję kontakt (z racji choćby swojej prawości). Znam ich prawie pół wieku i wiem dobrze, kim są. Pamiętam doświadczenia z pierwszych kontaktów z nimi i to, co później się im w życiu zdarzyło. Oni stanowią jakieś istotne odniesienie. Jest więc chmara tych ludzi przyzwoitych, każdy ich jakoś zna. Musimy jednak zacząć się troszczyć o nich, stać się ich opiekunami spolegliwymi, jak się to powiada.

Warto być przyzwoitym?

Warto być przyzwoitym. To się opłaca.

To się opłaca?

Tak. Opłaca się, bo człowiek nieprzyzwoity wie jednak, że postępuje nieprzyzwoicie. I na swój sposób cierpi. Tylko on jednak dokonuje takiego doraźnego rachunku opłacalności. I dochodzi do wniosku, że warto pocierpieć moralnie, żeby doznać jakiejś gratyfikacji. Zresztą to stary kłopot, jeszcze biblijny, związany z mechaniką odpłaty za grzechy. Z przekonaniem, że przyjdzie zapłacić za nie dość późno i w innym porządku: bo już za grobem. Ale mimo wszystko nie żyje się boleśniej z sobą samym, jeśli się nie postępuje przyzwoicie? Zaczyna się wtedy mniej cenić siebie, zaczyna się nawet sobą pogardzać. Ci nieprzyzwoici nie powiedzą nam tego, ale tak – oni gardzą sobą. I próbują siebie okłamywać, zwykle nieskutecznie. A przyzwoity człowiek śpi po prostu lepiej po nocach.

Trudno być przyzwoitym w trudnych czasach?

Trudno, zwłaszcza w czasach szczególnych zagrożeń: wojen, apokalips, szaleńczej przemocy, kataklizmów czy epidemii. Dzisiaj w Europie czy na szeroko pojętym „Zachodzie” cieszymy się jako takim pokojem – pomijając krwawe bałkańskie sprawy czy napaść na Ukrainę. Od 1945 roku nie zdarzył się tak długi okres spokoju w Europie, więc na swój sposób łatwiej być tutaj przyzwoitym. Trudniej jednak o to, kiedy w imię przyzwoitości musisz – jak to było za okupacji hitlerowskiej – zaryzykować życie własne albo życie rodziny, ocalając Żyda. Ale i dziś w Polsce, niestety, można zostać pobitym, bo się stało w obronie cudzoziemca albo homoseksualisty zaatakowanego na ulicy przez paru wyrostków o ogolonych umysłach. Postawienie się zwykłemu chuliganowi, który zaczepia kogoś albo tłucze szybę, też wymaga jakiegoś heroizmu. Nie zawsze potrafimy się zachować przyzwoicie, bo najzwyczajniej w świecie się boimy. I mamy prawo do tego lęku. Ale czasem trzeba przekroczyć własny lęk. Muszę zresztą powiedzieć o sobie, że czasem tchórzyłem w takich sytuacjach, innym natomiast razem wykazywałem się

dziwną odwagą. Raz więc byłem zgodnie przyzwoity, raz tchórzliwy. Nie ma co się dziwić, zależy to też od różnych stanów psychicznych w danym momencie. Czasem więc ogarnia człowieka jakiś paraliż, jakiś bezwzględny lęk. I później trudno z tym żyć – żyć ze świadomością, że nie zareagowało się na zło. Często przy tym nie możemy liczyć na pomoc innych w tym przeciwstawieniu się złu, co nas zresztą tak do końca nie usprawiedliwia. Ale i zdarza się też i tak, że możemy. To jest trochę jak gra na loterii: trzeba rzucać życie na stos. Nie zawsze ostatecznie, ale czasem też ostatecznie. Jak mówi polska pieśń patriotyczna: „Na stos rzuciliśmy swój życia los, swój życia los”. Nie zawsze jednak jest to konieczne. Czasem wystarcza dużo, dużo mniej. Jak teraz w Polsce.